

## WSPOMNIENIE O EDWINIE PŁAŻKU, POWSTAŃCU STYCZNIOWYM

Co parę lat jeżdżę do Lwowa na Łyczaków na grób mojego pradziadka, dra Edwina Płażka. To był niepospolity gość. Gdy w 1863 roku w Królestwie wybuchło powstanie, z grupą kolegów – też studentów przedarł się przez granicę, walczył w partii powstańczej, potem ranny wrócił do Galicji, po wyzdrowieniu działał jeszcze jako emisariusz, za co potem posiedział w twierdzy. Potem wyłącznie dzięki swym zdolnościom (ojciec odumarł go bardzo wcześnie) doszedł w Galicji do wysokich zaszczytów – był starostą w Złoczowie, Kamionce i Sokalu, honorowym obywatelem tych miast, także wiceprezydentem Rady Szkolnej Krajowej ( tzn. ministrem galicyjskiego szkolnictwa) oraz posłem w Wiedniu. Jednak na nagrobku kazał sobie napisać tylko „uczestnik powstania 1963 r”. Tylko to cenił. Z jego portretu spogląda elegancki pan w surducie, z hiszpańską bródką będącą ówczesnym świadectwem nonkonformizmu (lojaliści nosili bokobrody *a'la* Franz Josef). W swoim domu we Lwowie gościł regularnie towarzyszy z powstania, a także pewnego młodego malarza Artura Grottgera, który potem uwiecznił zasłyszane tam historie w znanych cyklach obrazów.

Zostały po pradziadku dwa papiery, które są najcenniejszymi dokumentami w naszej rodzinie. Jeden to powstańcza legitymacja z pieczęcią Rządu Narodowego. Pieczęć trójdzielna, na jednym polu Orzeł , na drugim Pogoń, na trzecim Święty Michał. Drugi dokument to rota przysięgi powstańczej, składanej przez ochotników przystępujących do oddziału.

Piszę o tym dlatego, że za niespełna miesiąc tj 22 stycznia 2013 przypadnie półtorawieczna rocznica wybuchu powstania styczniowego, naszej największej liczebnie, najdłuższej i najrozleglejszej terytorialnie insurekcji niepodległościowej. Trzeba będzie ją godnie uczcić, wbrew pogładowi, lansowanemu także przez obecnego p. Prezydenta, iż należy świętować zwycięstwa, nie zaś klęski. Jest to bowiem teza oczywiście debilna. Wybuch powstania nie był aktem klęski a zwycięstwa – nad własnym tchórzostwem, oportunistem, słabościami, niewiarą w przyszłość. Na dwa lata naród się odgiął, uwierzył że można stworzyć siłę i łać Ruskich. Udowodnił sam sobie że jeszcze jest coś wart.

Prócz tego, mimo klęski militarnej i utraty swych najlepszych synów naród wskrzesił na trwałe wolę samodzielnego istnienia. Bez wytworzonej wówczas determinacji nie wykorzystalibyśmy pół wieku potem krótkiej okazji restytucji państwowości.

Nieliczni powstańcy styczniowi, którzy doczekali odzyskania niepodległości w 1918 roku, natychmiast zostali uznani i przez społeczeństwo i przez Państwo za owej niepodległości

ojców. To było bardzo ważne – każdy z nich został awansowany do stopnia oficerskiego i otrzymał stosowny mundur. A ponadto, na mocy rozkazu J. Piłsudskiego każdy polski żołnierz niezależnie od stopnia miał obowiązek pierwszy oddawać powstańcowi styczniowemu honory wojskowe. Mój pradziadek dożył tych czasów, umarł dopiero w 1925 roku.

Niestety, żaden z tych wojskowych zaszczytów nie stał się udziałem jego wnuka a mojego ojca mimo, że okazał się on w niczym od swego dziadka nie gorszy. Tato zgłosił się we wrześniu 1939 jako ochotnik do Armii Kraków mając 18 lat (rocznik 1921 nie był objęty obowiązkowym poborem). Potem był żołnierzem AK a jeszcze potem WiN. Potem siedział w kryminale, potem długo był objęty zakazem pracy, w końcu zdołał podjąć praktykę adwokacką (studiował prawo w podziemnym Uniwersytecie Jagiellońskim). A jeszcze potem działał ostro w „Solidarności”.

Do żadnej organizacji kombatanckiej nie przystał, za dużo wiedział o niektórych ludziach tam działających. A ujawnił się dopiero parę lat temu, złożony dokładne zeznania w IPN.

Jest jeszcze garstka takich ludzi. Ale obecna Polska raczej ich nie uczy w sposób godny. Ustanowiono hucznie „Dzień żołnierzy wyklętych” ale do żadnego z owych niewielu już żołnierzy nikt się bezpośrednio nie zwraca, w ów dzień w mediach od rana do nocy wyłącznie wycierają sobie nimi gęby rozmaici „patriotyczni” politycy. I raczej nie jest możliwe wprowadzenie przepisu salutowania akowcom przez wojsko. Zbyt wielu żyje ich katów, których tkliwe uczucia należy szanować.

Jednak mojemu tacie nie psuje pogody ducha ani to że nie umrze jako oficer, ani to, że współcześni wojskowi nie oddadzą mu honorów. Swój skromny stopień dostał od komendanta Grota. O większy zaszczyt trudno.

I jeszcze jedno. Jako mały chłopczyk tato chodził ze swoim dziadkiem na spacer do Parku Stryjskiego we Lwowie. Zatem być może jest on ostatnim żyjącym, mającym w przeszłości sposobność ściskania ręki jednego z tych ludzi, którzy 150 lat temu poszli w trzaskający mróz do lasu z dubeltówkami i kosami, by obalić imperium. Taka jakby poufna premia od Pana Boga dla pana podchorążego.

To mniej więcej tak, jak by obecnie żył jeszcze jakiś Amerykanin, który ścisnął dłoń uczestnika wojny secesyjnej.

Stefan Płazek, Kraków 25 grudnia 2012 r.

*Wpis z bloga Burczymucha publikujemy za zgodą Autora*